



Frances Hodgson Burnett



Tajemniczy ogród



Frances Hodgson Burnett



Tajemniczy ogród



Tekst i przypisy lektury *Tajemniczy ogród* Frances Hodgson Burnett na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl; CC BY-SA 3.0).
Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska i Aleksandra Sekuła

Tytuł oryginału: *The Secret Garden*

Tłumaczenie: **Jadwiga Włodarkiewicz**

Opracowanie tekstu: **Agnieszka Marekwica**

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Projekt makiety: **Mariusz Dyduch**

Opracowanie graficzne: **mBOOKS. marcin siwiec**

Projekt okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje w środku: **Iwona Walaszek-Sarna**

Ilustracje na okładce: **Iwona Walaszek-Sarna** (główna), **Dreamstime.com** (ozdobniki): © Dansopdedeel, © Vertes Edmond Mihai

© Copyright for the cover and layout by Wydawnictwo SBM Sp. z o.o., 2021
Warszawa 2021



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa
www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN: 978-83-8222-551-8

Rozdział I

Nikt się nie ostał

W chwili gdy Mary Lennox została wysłana do Misselthwaite Manor, by zamieszkała tam u wuja, uważano, że było to najniesympatyczniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziano. I było to szczerą prawdą. Jej twarz była mała, chuda, postać mała i chuda, włosy miała jasne, rzadkie, skwaszony wyraz twarzy. Włosy jej były żółte, jak żółta również była twarzyczka, ponieważ Mary urodziła się w Indiach i często chorowała – to na to, to na owo. Jej ojciec był na stanowisku rządowym, wiecznie zapracowany i sam chory; matka zaś, słynna piękność, dbająca jedynie o siebie, lubiąca zebrania, zabawy, otaczająca się młodym, wesołym towarzystwem. Nie pragnęła ona zupełnie dziecka; toteż gdy Mary na świat przyszła, oddała ją pod opiekę niańki Hinduski, nazywanej Ayah, której dano do zrozumienia, że jeśli jej chodzi o względy pani, to powinna trzymać dziecko, o ile się da, jak najdalej od jej oczu. Kiedy zatem Mary była chorowitym, niezdolnym, brzydkim niemowlęciem, usuwano ją matce z drogi; a gdy stała się chorowitym, niezdolnym, zaczynającym chodzić dzieckiem, usuwano ją również sprzed matki oczu. Mary nie pamiętała, by z bliska widziała kogokolwiek innego prócz ciemnych twarzy swojej Ayah i reszty służby hinduskiej, a ponieważ byli jej posłuszni we wszystkim, ponieważ swoimi wrzaskami mogła w razie oporu rozgniewać panią, dlatego Mary w szóstym roku życia była najbardziej despotycznym i samolubnym zwierzątkiem, jakie kiedykolwiek żyło na kuli ziemskiej. Młoda nauczycielka Angielka, która miała ją nauczyć czytać i pisać, tak trudne miała zadanie, że po trzech miesiącach porzuciła posadę, a inne

jej następczyni uciekały po jeszcze krótszym czasie. Toteż gdyby Mary nie przyszła po prostu fantazja i chęć, by poznać książki, nie nauczyłyby się chyba nigdy alfabetu.

Pewnego rozpaczliwie upalnego rana, gdy miała około dziewięciu lat, obudziła się w bardzo złym humorze, a humor się jej jeszcze bardziej pogorszył, gdy spostrzegła, że służąca stojąca przy jej łóżku to nie jej Ayah.

– Po coś przyszła? – powiedziała do obcej kobiety. – Nie pozwalam ci tutaj zostać. Przyślij mi moją Ayah.

Kobieta patrzyła na Mary wystraszonym wzrokiem i wyjąkała, że Ayah nie może przyjść, a kiedy Mary wpadła w złość i zaczęła ją bić i szczy-pać, Hinduska patrzyła na nią coraz bardziej wystraszona i powtarzała, że Ayah w żaden sposób do panienki przyjść nie może.

Owego ranka było coś tajemniczego w powietrzu. Nic nie było zrobione, tak jak zwykle, a kilku hinduskich sług brakowało, ci zaś, których Mary widziała, skradali się lub uciekali z przerażonymi twarzami. Lecz nikt jej niczego nie chciał powiedzieć; a jej Ayah nie przychodziła. Mary była zostawiona sama sobie, więc wyszła do ogrodu i zaczęła się bawić sama pod drzewami w pobliżu werandy. Udawała, że urządza klomby z kwiatów, i wtykała wielkie szkarłatne pęki kwiatów w małe kupki ziemi. Przy tym jej złość rosła i dziewczynka mruczała do siebie pod nosem wszystko, co zamierzał powiedzieć niani, gdy ta wróci.

– Świnia! Świnia! Cóрка świni! – mówiła, bo nazwać Hindusa świnia jest najstraszniejszą obelgą.

Zgrzytała zębami ze złości i wciąż powtarzała to samo, gdy wtem usłyszała, że jej matka jest z kimś drugim na werandzie. Była tam z młodym blondynem i stali tak oboje, rozmawiając przyciszonym, dziwnym głosem. Mary знаła młodego blondyna, wyglądającego na chłopca. Słyszała, że był to bardzo młody oficer, który właśnie przyjechał z Anglii. Dziecko patrzyło na niego, ale patrzyło i na matkę. Mary przyglądała się zawsze matce, ilekroć udało jej się ją widzieć, ponieważ „pani” – Mary tym mianem najczęściej nazywała matkę – była taką wysoką, wysmukłą, śliczną osobką i nosiła takie urocze suknie. Jej włosy były niby faliste przedze

jedwabne, miała mały nosek i wielkie, śmiejące się oczy. Wszystkie jej suknie były cienkie i powłóczyste, a Mary mówiła, że „pełno na nich było koronek”. Lecz dzisiaj wydawało się, że więcej na niej koronek niż zazwyczaj, lecz oczy jej nie śmiały się wcale. Były szeroko otwarte i błagalnie wzniesione ku twarzy młodego oficera.

Mary usłyszała jej słowa:

– Czyż tak bardzo źle? Tak bardzo?

– Strasznie – odrzekł młody człowiek drżącym głosem. – Strasznie, pani. Powinna pani była wyjechać przed dwoma tygodniami.

Wtedy pani Lennox ręce załamała.

– Och! Wiem, że powinna byłam wyjechać – szlochała. – Zostałam jedynie dla tego pikniku niemądrego. Jakże byłam szalona!

W tej chwili doszedł ich uszu taki lament rozpaczliwy z baraków dla służby, że pani Lennox gorączkowo chwyciła za ramię młodego oficera. Mary zaś zaczęła drżeć na całym ciele. Lament i jęki stawały się coraz głośniejsze.

– Co to? Co to? – szeptała przerażona pani Lennox.

– Ktoś znów umarł – odpowiedział młodzieńczy oficer. – Nie mówiłaś, pani, że zaraza wybuchnęła między służbą pani.

– Nic o tym nie wiedziałam! – zawołała. – Chodź pan ze mną, chodź! – i odwróciwszy się, wbiegła do wnętrza domu.

Nastąpiły potem rzeczy okropne i tajemniczość tego poranka została wyjaśniona małej Mary. To cholera* wybuchnęła w najgroźniejszej swej formie i ludzie padali jak muchy. Jej Ayę zabrano w nocy chorą, a lament w zabudowaniach służby powstał właśnie wskutek jej śmierci. Do następnego dnia zmarło jeszcze troje służby, reszta w trwodze i popłochu uciekła. Paniczny strach opanował wszystkich, a ludzie umierali jeden po drugim.

W zamęcie i przerażeniu następnego dnia, zapomniana przez wszystkich, Mary ukryła się w dzieciennym pokoju. Nikt o niej nie pomyślał,

* *cholera* – choroba zakaźna spowodowana zakażeniem bakterią przecinkowca cholery (*Vibrio cholerae*) przez spożycie skażonej wody lub jedzenia; początkowe objawy obejmują biegunkę, wymioty, niekiedy bóle brzucha, a następnie charakterystyczne pomarszczenie skóry, zmianę głosu, zapadnięcie oczu i wyostrenie rysów twarzy; nieleczona cholera powoduje zgon.

nikt jej nie pragnął, a tymczasem wydarzyły się dziwne i straszne rzeczy, o których niczego nie wiedziała. Mary na przemian płakała lub spała. Wiedziała tylko, że ludzie chorowali i że słychać było tajemnicze, przerażające głosy. W pewnej chwili wśliznęła się do pustej jadalni, w której na stole stały częściowo dopiero co opróżnione półmiski, a talerze i krzesła wyglądały tak, jak gdyby je poodsuwano w pośpiechu. Dziewczynka zjadła owoce i biszkopty, a aby ugasić pragnienie, wypila całą szklankę stojącego obok wina. Wino było słodkie, lecz Mary nie знаła jego mocy. Po krótkiej chwili poczuła odurzenie, wróciła do swej *nursery** i znów się zamknęła, przestraszona krzykami i odgłosami uciekających kroków. Czuła ogarniającą ją, nieprzewyciężoną senność. Położyła się na łóżeczku i na bardzo długo straciła świadomość tego, co się wkoło niej dzieje.

Tymczasem wydarzyło się bardzo wiele, gdy Mary spała snem tak twardym, że nie obudziły jej ani jęki, ani odgłosy wnoszonych i wynoszonych przedmiotów.

Po przebudzeniu Mary leżała jeszcze, patrząc w sufit. W domu była zupełna cisza. Nigdy przedtem nie znała takiej ciszy. Nie słyszała ani głosów, ani niczych kroków i była ciekawa, czy wszyscy już wyzdrowieli i czy niebezpieczeństwo minęło. Ciekawa też była, kto się nią będzie opiekował po śmierci jej Ayah. Będzie pewno nowa Ayah i może nawet będzie umiała nowe bajeczki. Mary była już znudzona dawnymi. Nie płakała z powodu śmierci swej niani. Nie było to dziecko tkliwe i nigdy o nikogo nie dbało. Hałasy, biegania, jęki i lament z powodu cholery jedynie ją straszyły, a teraz była zła, bo nikt o niej nie pamiętał. Ponadto wszyscy byli zbyt przerażeni, by myśleć o dziecku, którego nikt nie lubił. Kiedy choroba wybuchła, każdy myślał tylko o sobie. Ale teraz, gdy już wszystko minęło, na pewno ktoś przyjdzie, by zobaczyć, co się dzieje z Mary.

Lecz nikt się nie zjawiał, a podczas gdy dziewczynka leżała wyczekując, cały dom zdawał się zapadać w coraz to głębszą ciszę. Usłyszała,

* *nursery* (z *ang.*) – pokój dziecienny.

że coś się czołga po matach na podłodze i, spojrzawszy w dół, ujrzała małego żółwia, czołgającego się wzdłuż muru i patrzącego na nią oczkami jak brylanty. Nie przestraszyła się wcale, ponieważ wiedziała, że to niewinne stworzonko, które jej krzywdy nie zrobi, a tymczasem żółwik zdawał się śpieszyć, by się jak najprędzej wydostać się z pokoju. Wyśliznął się wreszcie przez szparę pod drzwiami.

– Jakże jest cicho i spokojnie! – powiedziała do siebie. – Zdaje się, że oprócz mnie i żółwia nikogo nie ma w całym domu.

W tym samym momencie usłyszała kroki w ogrodzie, następnie na werandzie. Były to kroki męskie i kilku mężczyzn weszło do domu, rozmawiając przyciszonym głosem. Nikt nie wyszedł na powitanie, nikt do nich nie przemówił, a oni zdawali się otwierać jedne drzwi po drugich i zaglądać do pokoi.

„Cóż za spustoszenie! – usłyszała Mary. – Ta śliczna, urocza kobieta! Sądzę, że i dziecko; bo słyszałem, że miała córeczkę, choć jej nigdy nikt nie widział”.

Mary stała pośrodku swego pokoju, gdy w kilka minut później drzwi do niej się otwarły.



Wyglądała na brzydką, niesforną dziewczynkę, a drżała przy tym z głodu i oburzenia, że o niej tak niegodziwie zapomniano. Pierwszy, który wszedł to starszy oficer, którego Mary widziała niegdyś rozmawiającego z ojcem. Wyglądał na zmęczonego i wzruszonego, ale gdy spostrzegł Mary, tak się przeraził, że dosłownie skoczył.

– Barney’u! – wykrzyknął. – Tutaj jest dziecko! Dziecko zupełnie same! W takim miejscu! Na miłość boską, kim ona jest?

– Jestem Mary Lennox – powiedziała dziewczynka, prostując się sztywno. Pomyślała sobie, że ten pan jest bardzo niegrzeczny, że dom jej ojca nazywa „takim miejscem!”. – Zasnęłam, gdy wszyscy chorowali na cholerę i właśnie teraz się obudziłam. Czemu nikt do mnie nie przychodzi?

– To jest to dziecko, którego nikt nigdy nie widział! – zawołał oficer, zwracając się do swych towarzyszy. – Zapomnieli o niej wszyscy!

– Dlaczego o mnie zapomnieli? – zapytała Mary, tupiąc nogami. – Czemu nikt nie przychodzi?

Młody człowiek, którego nazwano Barney, spojrział na nią z ogromnym smutkiem. Mary zdawało się nawet, że zadrgały mu powieki, jakby od łez.

– Biedne maleństwo! – powiedział. – Nie ostał się nikt. Nikt przyjść nie może.

I w ten oto dziwny i nieoczekiwany sposób Mary dowiedziała się, że nie ma już ani ojca, ani matki; że oboje umarli i że ich w nocy pochowano, a nieliczni słudzy, którzy uniknęli śmierci, opuszczali dom jak mogli najspieszniej, zapominając o istnieniu „panienki”. Oto przyczyna tej głuchej ciszy otaczającej Mary. W całym domu została przy życiu tylko ona i mały żółw.



Rozdział II

Panna Mary kapryśnica

Mary lubiła z patrzeć daleka na swą piękną matkę, ale nie znała jej prawie wcale, nic też dziwnego, że nie mogła jej kochać, ani tęsknić za nią, gdy ją straciła. I nie tęskniła zupełnie, a ponieważ była zawsze dzieckiem bardzo egoistycznym, dlatego wszystkie swe myśli skierowała ku sobie, jak zresztą zawsze robiła. Gdyby była starsza, może by przeraziła ją myśl, że została całkiem sama na świecie, ale przecież była jeszcze mała i inni o niej myśleli, sądziła zatem, że tak zawsze musi być. Chciała tylko wiedzieć, czy znajdzie się teraz między miłymi ludźmi, którzy będą dla niej grzeczni i pozwolą jej na wszystkie wybryki, jak to czyniła jej Ayah i reszta służby.

Wiedziała o tym, że nie pozostanie w domu pastora, gdzie ją na razie umieszczono. Nie chciała tam mieszkać. Pastor był biedny, miał pięcioro dzieci, wszystkie prawie w tym samym wieku; sukienki ich były brudne, a dzieciaki kłóciły się ciągle i wydierały sobie zabawki. Mary nienawidziła brudnego domu pastora i była taka nieznośna dla wszystkich, że po dwóch dniach żadne z dzieci nie chciało się z nią bawić. Zaraz drugiego dnia dali jej przezwisko, które wprawiało ją w furję.

Pierwszy pomyślał o tym Bazyli. Był to mały chłopczyk o blado niebieskich oczach i zadartym nosie. Mary go nie cierpiała. Bawiła się sama pod drzewami, zupełnie tak samo, jak owego fatalnego dnia. Robiła klombiki z ziemi, ścieżki – a Bazyli stał w pobliżu i przyglądał się. Naraz przyszedł mu do głowy pomysł.

– Czemu nie ustawisz kupki kamieni, niby, że to są skały? – powiedział do niej. – O! tutaj, w środku – i pochylił się, by wskazać miejsce.

– Idź precz! Nie cierpię chłopców, idź precz! – wołała Mary.

Przez chwilę Bazyli był zły, potem zaczął się droczyć. Droczył się zawsze z siostrami. Zaczął około niej tańczyć i podskakiwać, śmiał się i śpiewał:

Panno Mary, kapryśnico.

Odwróć zagniewane lico!

Czy w ogródku rosną kwiatki,

Maki, fiołki i bławatki?

Śpiewał dopóty, dopóki reszta dzieci tego nie usłyszała i nie zaczęła śmiać się z nim razem. A im bardziej Mary się złościła, tym więcej śpiewali: „Panno Mary, kapryśnico”, nazywając ją tak później między sobą, a nawet wtedy, gdy się do niej zwracali.

– Pod koniec tego tygodnia pojedziesz do domu – powiedział do niej Bazyli. – A my się strasznie z tego cieszymy.

– Ja się też strasznie cieszę – odparła Mary. – Ale gdzie jest „dom”?

– Ona nie wie, co znaczy „dom”! – rzekł Bazyli z oburzeniem. – To znaczy oczywiście Anglia. Nasza babunia tam mieszka, a nasza siostra, Mosel, pojechała do niej w zeszłym roku. Ale ty nie masz babuni, ty pojedziesz do wuja, który się nazywa pan Archibald Craven.

– Nic o nim nie wiem – sapła Mary.

– Wiem, że nic nie wiesz – odparł Bazyli. – Dziewczęta w ogóle nic nie wiedzą. Słyszałem, jak rodzice o nim mówili. Otóż twój wuj mieszka w ogromnym, rozległym, opuszczonym domu na wsi i nikt u niego nie bywa. Taki jest niemiły, że nikogo by nie przyjął, a gdyby chciał przyjąć, to nikt do niego nie chciałby pojechać. Jest w dodatku garbaty i okropny.

– Nie wierzę ci – odpowiedziała Mary; odwróciła się i zatkała uszy palcami, bo nie chciała już nic więcej słyszeć.

Długo jednak myślała później o wszystkim, co usłyszała; a gdy pani Crawford powiedziała jej tego wieczora, że za kilka dni pojedzie do Anglii, do wuja, pana Archibalda Craven, mieszkającego w Misselthwaite Manor, Mary wydawała się tak kamiennie i uparcie obojętną, że nie wiadano, co o niej myśleć. Starano się ją traktować serdecznie, lecz ona odwracała twarz, ilekroć pani Crawford usiłowała ją pocałować, i stała sztywna jak kij, gdy pan Crawford poklepał ją po ramieniu.

– Dziwne jakieś dziecko – rzekła później pani Crawford z politowaniem. – Jej matka była taką uroczą i miłą istotą, a Mary to najniesympatyczniejsze dziecko, jakie w życiu widziałam. Dzieci nazywają ją „Panną Mary kapryśnicą”, a choć to niegrzeczne z ich strony, to wcale się im nie dziwię.

– Być może, że gdyby jej matka częściej zaglądała do dziecinnego pokoju, to i Mary byłaby milsza. Smutne to wspominać obecnie, gdy to uroczyste stworzenie nie żyje, że większość otaczającego ją towarzystwa nie wiedziała nawet, że ma dziecko.

– Sądzę, że nawet nie spojrzała na córkę – z westchnieniem odparła pani Crawford. – Wszak gdy jej Ayah umarła, to nikt nie pomyślał o tym biedactwie. Pomyśl tylko, że wszystko się rozbiegło, zostawiając to maleństwo samiuteńkie w całym tym opustoszołym domu. Kapitan Mac Grew mówił mi, że po prostu osłupiał, gdy, otworzywszy drzwi, znalazł ją samą na środku pokoju.

Długą podróż do Anglii Mary odbyła pod opieką żony pewnego oficera, która swoje dzieci odwoziła do szkół. Była ona bardzo zajęta własnymi dziećmi, toteż bardzo się ucieszyła, gdy w Londynie mogła oddać Mary jejmości, którą Archibald Craven przysłał po siostrzenicę. Jejmość ta była jego gospodynią w Misselthwaite Manor i nazywała się pani Medlock. Była to kobieta tęga, o bardzo czerwonych policzkach i ostrych, czarnych oczach. Miała na sobie jaskrawą, czerwoną suknię, czarną, jedwabną mantylę* z błyszczącymi paciorkami i frędzlami i czarny kapelusz z czerwonymi welwetowymi kwiatami, które przy każdym poruszeniu głową chwiały się i trzęsły na wszystkie strony. Mary nie poczuła sympatii do niej, ale ponieważ nigdy do nikogo nie czuła sympatii, dlatego nie było w tym nic dziwnego; przy tym widoczne było aż nadto, że pani Medlock nie troszczyła się o nią zbyt.

– Słyszeliśmy, że matka jej była piękna. Nie dała córce urody w spuściznie, prawda, proszę pani?

– Może wyładnieje, gdy będzie starsza – odparła dobrotliwie żona oficera. – Gdyby nie była taka niegrzeczna i miała milszy wyraz, to rysy jej są raczej ładne. Dzieci się tak zmieniają!

* *mantyla* – szal, często ozdobny, noszony dawniej przez kobiety na ramionach, a niekiedy również okrywający głowę.

– No, będzie się musiała bardzo zmienić – odparła pani Medlock. – A nie można powiedzieć, by w Misselthwaite były dobre lub jakiegokolwiek wpływy na dzieci!

Sądziły obie, że Mary nie słucha, gdyż dziewczynka stała trochę z dala, przy oknie hotelu, w którym się zatrzymali. Przyglądała się ruchowi ulicznemu, lecz słyszała każde słowo i strasznie była ciekawa, jaki jest wuj i dom, w którym mieszkał. Co to znaczy „garbaty”? Nie widziała nigdy garbatego. Może w Indiach nie ma garbatych?

Odkąd Mary żyła między obcymi ludźmi i nie miała przy sobie swej niani, zaczęła czuć się samotna i myśleć o dziwnych rzeczach, całkiem dla niej nowych. Zaczęła się teraz dziwić, dlaczego ona nigdy nie była czyjaś, nawet wtedy, gdy jej ojciec i matka żyli. Inne dzieci były zawsze swego tatusia i swej mamusi, a ona nigdy nie była niczyją córeczką. Miała służbę i jedzenie, i sukienki. Ale nikt na nią nie zwracał uwagi. Nie wiedziała również o tym, że wszystko to było z tego powodu, że ona sama była bardzo niemłym dzieckiem; a Mary nie wiedziała, że była niemła. Wręcz myślała o drugich, że są nieprzyjemni, lecz nigdy nie myślała tego o sobie.

Pani Medlock wydawała jej się najbardziej nieprzyjemna ze wszystkich ludzi – razila ją swoimi czerwonymi policzkami i ordynarnym, pretensjonalnym kapeluszem. Gdy następnego dnia wyjeżdżały w dalszą drogę do Yorkshire, Mary szła przez stację do pociągu z odwróconą głową i jak najdalej od pani Medlock, bo nie chciała, żeby myślano, że należą do siebie. Była zła na samą myśl, że mogliby ją wziąć za córeczkę pani Medlock.

Ale pani Medlock nie przejmowała się ani samą Mary, ani tym, co sobie Mary myślała. Była to kobieta, która „nie zawracała sobie głowy wybrykami młodych”. W każdym razie, gdyby ją zapytano, tak z pewnością odpowiedziałaby. Nie chciała ona pojechać do Londynu nawet wtedy, gdy jej siostra, Maria, wydawała córkę za mąż, lecz pani Medlock miała wygodne, dobrze płatne miejsce ochmistrzyni w Misselthwaite Manor, a zatrzymać je mogła nadal pod tym jedynie warunkiem, że wykona natychmiast rozkaz pana Archibalda Cravena. Nie śmiałyby nawet zakwestionować* cokolwiek.

* zakwestionować – podać w wątpliwość słuszność czegoś.

– Kapitan Lennox i jego żona zmarli na cholere – powiedział pan Craven, jak zwykle krótko i zimno. – Kapitan Lennox był bratem mojej żony, jestem więc opiekunem jego córki. Dziecko przywiezione będzie tutaj. Pojedzie pani do Londynu i przywiezie je do mnie.

Pani Medlock spakowała manatki* i ruszyła w podróż.

Mary wtuliła się w kąt wagonu z miną kwaśną i złą. Nie miała co czytać, nie miała na co patrzeć, złożyła swoje cienkie, obciążone w czarne rękawiczki rączki na kolanach i siedziała cicho. Jej czarna sukienka podnosiła i uwydatniała żółtość jej cery, a jej sztywne, jasne włosy wymykały się kosmykami spod krepowego** kapelusza.

„W swoim życiu nie widziałam takiego niemilego, zepsutego dziecka jak ta!” – myślała pani Medlock. Nie widziała ona nigdy, żeby dziecko mogło tak długo siedzieć w jednym miejscu w zupełnej bezczynności; toteż znużyło ją przyglądanie się dziewczynie i zaczęła mówić ostrym, twardym głosem:

– Opowiem ci cośkolwiek o miejscu, do którego jedziesz – powiedziała. – Czy wiesz cośkolwiek o swoim wuju?

– Nie – odparła Mary.

– Nie słyszałaś nigdy, by rodzice o nim mówili?

– Nie – odrzekła Mary i zadrżała. Zadrżała, przypomniawszy sobie, że ojciec i matka nigdy o niczym jej nie mówili.

– Hm! – mruzczała pani Medlock, patrząc na jej zamkniętą w sobie, złą twarzyczkę. Zamilkła na jakiś czas, po czym znów zaczęła mówić:

– Sądzę, że jednak trzeba cię przygotować. Jedziesz do miejsca bardzo dziwnego.

Mary nic na to nie powiedziała, a pani Medlock, rozczarowana jej obojętnością, dopiero po chwili zaczerpnęła powietrza i ciągnęła dalej:

– W każdym razie jest to ogromny dom, lecz ponury, a pan Craven dumny jest z niego na swój sposób i to jest dziwne. Dom ten ma już sześćset lat i stoi na końcu rozległego wrzosowiska; ma on blisko sto pokoi, chociaż większość z nich jest zamknięta na klucz. I od lat są tam

* *manatki (pot.)* – rzeczy osobiste zabierane w podróż; bagaż podręczny.

** *krepowy* – wykonany z czarnego materiału, z jakiego robiono stroje żałobne.

obrazy i stare, piękne meble, i różne rzeczy; wokoło jest ogromny park, ogrody i drzewa ze starymi, do ziemi dostającymi gałęzmi. – Odpoczęła, zaczerpnęła oddechu – i to już wszystko – zakończyła nagle.

Mary mimo woli zaczęła się przysłuchiwać. Wszystko, co słyszała, było tak odmienne od tego, co było w Indiach, a każda nowość była dla niej ciekawa. Lecz nie chciała dać znać po sobie, że ją cokolwiek interesuje. Była to jedna z jej nieprzyjemnych, nieszczęsnych wad. Siedziała zatem cicho.

– No i cóż? – spytała pani Medlock. – Co panienka o tym myśli?

– Nic – odparła. – Nie znam się na takich domach.

Odpowiedź ta wywołała krótki, urwany śmiech pani Medlock.

– Ech! Panienka jest zupełnie jak stara baba – powiedziała. – Czy to wszystko panienkę nic nie obchodzi?

– Wszystko jedno, czy mnie obchodzi czy nie – odparła Mary.

– Co do tego, to ma panienka rację – powiedziała znów pani Medlock. – Dlaczego panienkę zatrzymują w Misselthwaite Manor, to nie mam pojęcia. A może to najłatwiejszy sposób opieki. Że on nie będzie się o panienkę troszczył, to więcej niż pewne. On się nigdy o nikogo nie troszczy.

Zatrzymała się, jak gdyby coś sobie w porę przypomniała.

– On ma krzywe plecy – powiedziała – dlatego jest taki zły. Jako młody człowiek był zgryźliwy i mimo swej fortuny nic dobrego nie zaznał, dopóki się nie ożenił.

Mary zwróciła oczy na mówiącą mimo usiłowań udawania obojętnej. Nie myślała nigdy o tym, że garbus mógł się ożenić i była nieco zdziwiona. Spozstrzegła to pani Medlock, a jako niewiasta bardzo gadatliwa ciągnęła dalej, z większym zapalem. Był to jedyny sposób skrócenia nudnej podróży.

– Ona, było to słodkie, śliczne stworzenie, a on dla niej na kraniec świata poszedł po źdźbło trawy, gdyby tego zapragnęła. Nikt nie przypuszczał, że go poślubi, a jednak poślubiła. Ludzie mówili, że to zrobiła dla pieniędzy, ale to nieprawda. Nieprawda! – dodała z przeświadczeniem. – Gdy umarła...

Mary mimo woli poruszyła się.

– Ach! Więc umarła! – wykrzyknęła, niewiele myśląc. Przypomniała sobie francuską bajkę *Knyps z czubkiem*, którą niegdyś czytała. Bajka

mówiła o biednym garbusku i cudnej księżniczce, i naraz zrobiło się jej żal pana Archibalda Cravena.

– Tak, umarła – powiedziała pani Medlock – i odtąd zdziwaczał jeszcze więcej. Nie dba już o nikogo. Ludzi widzieć wcale nie chce. Po największej części wyjeżdża, a gdy jest w Misselthwaite Manor, to zamyka się w skrzydle zachodnim domu i tylko Pitchera do siebie dopuszcza. Pitcher to już stary dziad, ale opiekował się nim niegdyś, gdy był jeszcze dzieckiem, i dobrze zna jego usposobienie.

Było to wszystko dziwne jak w bajce i Mary wcale nie usposobiło wesoło. Dom o stu pokojach, prawie wszystkich zamkniętych i zaryglowanych – dom na krańcu wrzosowiska, wszystko to było dziwnie niewesołe. I ten człowiek, garbaty, który się także zamykał na dziesięć spustów! Mary patrzyła oknem z zaciśniętymi wargami i zdało jej się całkiem naturalne, że w tej chwili deszcz zaczął siec ukośnymi strugami i bić o szyby wagonu. Gdyby żyła ta śliczna kobieta, rozweselała swoje otoczenie, tak jak jej mamusia, szczebiotem, ruchliwością, chodzeniem z jednej zabawy na drugą w cudnej, ozdobionej koronkami sukni. Ale i ta już nie żyła.

– Niech się panienka nie spodziewa ujrzeć pana. Daję głowę, że go panienka nie zobaczy – powiedziała pani Medlock. – I nie trzeba się spodziewać, że tam ktokolwiek będzie z panienką rozmawiał. Trzeba się będzie samej bawić i myśleć o sobie. Powiedzą panience, do których pokoi wolno jej wchodzić, a od których należy się trzymać z daleka. Ogrodów tam pod dostatkiem. Ale nie trzeba kręcić się po domu i nosa wszędzie wtykać. Pan Craven sobie tego nie życzy.

– Wcale nie pragnę wtykać wszędzie nosa – odparła nasza mała Mary; i jak nagle zrobiło jej się żal pana Archibalda, tak teraz nagle przestała go żałować, a myślała natomiast, że był taki niedobry, że zasłużył na to wszystko, co go spotkało.

I zwróciła twarzyczkę ku oknu, patrząc na strugi ściekającego po szybach deszczu, który padał nieprzerwanie, jakby nigdy nie miał ustać. Patrzyła tak długo i uparcie, dopóki wszystko nie zaczęło jej przed oczyma szarzeć, szarzeć, aż wreszcie znużona zasnęła.

Rozdział III

Przez wrzosowisko

Mary długo spała. Po jej przebudzeniu się pani Medlock kupiła na jednej ze stacji koszyk ze śniadaniem, w którym były kurczęta i wołowina na zimno, chleb z masłem i gorąca herbata. Deszcz padał bardziej niż przedtem, a na stacjach wszyscy poubierani byli w gumowe płaszcze, lśniące i ociekające od deszczu. Konduktor zapalił lampy w wagonie, a pani Medlock rozkoszowała się swoją herbatą, kurczętami i wołowiną. Zjadła dużo, po czym sama zasnęła, a Mary siedziała, przyglądając się jej i jej kapeluszowi, który się smętnie zsunął na prawe ucho, aż wreszcie i ona powtórnie zasnęła, wtulona w kąt wagonu i ukołysana jednostajnym biciem deszczu o szyby. Było już zupełnie ciemno, gdy się zbudziła. Pociąg zatrzymał się na stacji, a pani Medlock zaczęła nią trząść.

– No, ale też panienka spała! – wykrzyknęła. – Najwyższy czas otworzyć oczy! Jesteśmy już w Thwaite, a jeszcze długa jazda przed nami.

Mary wstała i usiłowała otworzyć oczy, podczas gdy pani Medlock zbierała pakunki. Dziewczynka nie pomyślała o tym, by jej pomóc, ponieważ w Indiach służba zawsze wszystko za nią robiła. Było to dla niej zupełnie naturalne, że jej wszyscy usługiwali.

Była to jakaś mała stacyjka i nikt inny nie wysiadł tu prócz nich. Naczelnik stacji zaczął rozmawiać z panią Medlock w szorstki, ale pocziwy sposób, wymawiając wyrazy dziwnie rozwlekłe, tak jak, Mary to później spostrzegła, mówią w Yorkshire.

– Co to, już pani z powrotem? I przywiozła pani tę małą?

– Ehe, to ona – odparła pani Medlock, mówiąc też w narzeczu jork-shirskim i wskazując ruchem głowy Mary. – Jakże się ma żona?

– Nieźle, dziękuję. Powóz czeka tam po drugiej stronie.

Powóz stał istotnie przed zajazdem stacji. Mary spostrzegła, że powóz jest wykwinny i że wykwinny służący pomógł jej wsiąść do niego. Jego długi gumowy płaszcz i pokrycie głowy lśniły i ociekały od deszczu, jak wszystko bez wyjątku, nie wyłączając grubego naczelnika.

Gdy służący zatrzasnął drzwiczki i usiadł obok stangreta na koźle, dziewczynka usadowiła się w wygodnym, miękkim kąciku, lecz senność jej całkiem minęła. Siedziała, wyglądając przez okno i pragnąc zobaczyć cośkolwiek na tej drodze, wiodącej do owego dziwnego domu, o którym mówiła pani Medlock. Nie było to dziecko lękliwe i nie można powiedzieć, by była wystraszona, lecz czuła, że jednak Bóg wie, co się może zdarzyć w domu, w którym jest sto zamkniętych pokoi, w domu stojącym na krańcu wrzosowiska.

– Co to jest wrzosowisko? – spytała nagle panią Medlock.

– Patrz wciąż oknem, a za jakie dziesięć minut sama zobaczysz – odparła kobieta. – Musimy pięć mil jechać wrzosowiskiem, zanim dojedziemy do domu. Wiele panienka nie zobaczy, bo noc ciemna, ale cośkolwiek dostrzec można.

Mary nie zadawała już więcej pytań, lecz czekała w swym kąciku, wpatrzona uparcie w okno. Latarnie rzuciły naprzód smugi światła i Mary dostrzegła zarysy mijanych przedmiotów. Po opuszczeniu stacji przejeżdżali przez małą wioskę, dostrzegła białe domki i światła w domu ludowym. Później minęli kościół, probostwo i domek z rodzajem okna wystawowego z zabawkami, słodyczami i rozmaitymi przedmiotami na sprzedaż. Później wyjechali na trakt i Mary dostrzegła żywopłoty i drzewa. Potem długo nie było niczego godnego uwagi; w każdym razie Mary dłużyła się droga.

W końcu konie zwolniły biegu, jak gdyby wjeżdżały na wzgórek, i zdawało się, że już nie ma ani żywopłotów, ani drzew. W istocie Mary nie mogła dostrzec niczego oprócz nieprzeniknionej ciemności po obu stronach. Pochyliła się naprzód i przytuliła twarz do szyby, kiedy naraz powóz podskoczył.

– No, teraz to już na pewno jesteśmy na wrzosowisku – powiedziała pani Medlock.

Latarnie rzucały trochę światła na nierówną, złą drogę, która była jakby poprzecinana krzakami i czymś nisko rosnącym dokoła, czymś, co się kończyło gdzieś na krańcu horyzontu. Wiał wiatr, który wydawał dziwne, dzikie, szumiące odgłosy.

– Czy to... czy to morze czy nie? – spytała Mary swą towarzyszkę.

– Nie, to nie morze – odparła pani Medlock – ale też nie pola, ani góry, tylko całe mile, mile i mile dokoła dzikiego pastwiska, gdzie nic nie rośnie prócz wrzosów i gdzie nic nie żyje oprócz dzikich koników zwanych ponney i owiec.

– A jednak czuję, żeby to mogło być morze, gdyby była woda – powiedziała Mary. – Takie to odgłosy wydaje, zupełnie jak morze.

– To wiatr, który jęczy w zaroślach. Dla mnie to dosyć dzikie i samotne miejsce, choć mnóstwo ludzi je lubi, zwłaszcza, gdy kwitną wrzosa.

Jechały tak coraz dalej w ciemności, a choć deszcz przestał padać, zaczął wiać silny wiatr, który świszczął i wydawał nieprzyjemne dźwięki. Droga prowadziła w górę, to znów na dół, a kilka razy powóz przejeżdżał mostki, pod którymi z łoskotem szumiały spienione wody strumyków. Mary miała uczucie, że ta jazda nigdy się nie skończy i że wielka zimna wydma to ciemny ocean, a ona jedzie wąskim pasem lądu.

„Nie lubię tej wydmy” – powiedziała sobie w duchu i silniej zacisnęła cienkie wargi.

Konie pięły się w górę drogi, gdy Mary pierwsza dostrzegła światełko. Pani Medlock spostrzegła je równocześnie i odetchnęła z uczuciem wielkiej ulgi.

– Kontenta* jestem z tego światełka – zawołała – to światło w domku portiera. No, za chwilkę napijemy się gorącej herbaty.

Było to „za chwilę”, jak powiedziała, dość niezwykle, bo powóz po przejechaniu bramy parku musiał przebyć dwie mile angielskie alei, a drzewa, które niemal zupełnie stykały się czubami, tworzyły nad nimi jakby długie, ciemne sklepienie.

* *kontent* (daw.) – zadowolony.

Wyjechali wreszcie na jaśniejsze miejsce i zatrzymali się przed ogromnie długim, niskim, a nieregularnie zbudowanym domem. Na razie здавало się Mary, że cały dom jest ciemny, dopiero gdy wysiadła, dostrzegła słabe światło w jednym z okien na piętrze.

Wchodowe olbrzymie i ciężkie drzwi były zbite z masywnych, dziwnie rżniętych desek dębowych, nabijane wielkimi, żelaznymi gwoźdźmi i powiązane żelaznymi sztabami. Przez nie wchodziło się do olbrzymiego hallu, który był tak słabo oświetlony, że Mary wcale nie miała ochoty przyglądać się starym portretom pań i panów w starodawnych strojach. Gdy tak stała na kamiennej posadzce olbrzymiego hallu, wydawała się bardzo drobną i bardzo niezwykłą czarną figurką i czuła się tak nikłą i osamotnioną, i dziwną, jak istotnie była.

Ubrany bez zarzutu, chudy, stary człowiek stał w pobliżu lokaja, który mu drzwi otwierał.

– Ma ją pani wziąć zaraz do jej pokoju – rzekł zachrypniętym głosem. – Pan nie życzy sobie jej widzieć. Rano wyjeżdża do Londynu.

– Doskonale, panie Pitcher – odparła pani Medlock. – O ile wiem, czego chcą ode mnie, z pewnością to wykonam.

– Czego od pani chcą, mościa dobrodziejko? – rzekł Pitcher. – Oto jedynie tego, aby on miał spokój zupełny i aby nie widział tego, czego nie pragnie widzieć.

Potem zaprowadzono Mary Lennox przez szeroką klatkę schodową i długi korytarz i znów w górę po kilku stopniach, i znów przez inny korytarz, i jeszcze przez jeden, póki nie natrafiono na drzwi prowadzące do jej pokoju, gdzie znalazła ogień na kominku i kolację na stole.

Pani Medlock odezwała się bez ceremonii:

– No, otóż jesteśmy! Ten oto pokój i ten obok, przeznaczone dla panienki, muszą panience wystarczyć. Proszę o tym nie zapomnieć.

W ten oto sposób panna Mary znalazła się w Misselthwaite Manor i chyba nigdy w życiu nie czuła się taką prawdziwą „kapryśnicą” jak w tej chwili.

Rozdział IV

Marta

Nazajutrz z rana Mary otworzyła oczy, gdy młoda dziewczyna weszła do jej pokoju rozniecić ogień, a teraz klęczała przed kominkiem, hałaśliwie wygarniając niedopalone węgle. Mary przyglądała jej się chwilę, leżąc, po czym zaczęła rozglądać się po pokoju. Nigdy jeszcze nie widziała niczego podobnego, pokój wydał się jej i dziwny, i ponury, ściany pokryte były tkaniną, na której wyhaftowano leśne sceny. Byli tam dziwnie ubrani ludzie wśród drzew, a w dali widniały wierzchołki wieżyc zamkowych. Byli tam myśliwi, konie i psy, i piękne panie. Mary miała uczucie, że się wraz z nimi w lesie znajduje. Przez okno dostrzegła wielką przestrzeń falistego gruntu, który był całkiem огоłocony z drzew i wyglądał jak bezbrzeżne, krwawo purpurowe morze.

– Co to takiego? – spytała, wskazując przez okno.

Młoda służąca, Marta, która właśnie wstała z klęczek, wskazała również w tym kierunku i powiedziała:

– To?

– Tak.

– To wrzosowisko – dodała z poczciwym uśmiechem. – Czy panienska lubi wrzosowiska?

– Nie cierpię – odparła Mary.

– Bo panienska jeszcze nie przywykła – powiedziała Marta, wracając do kominka. – Paniencie się ono teraz wydaje takie wielkie i takie gołe. Ale ja wiem, że panienska strasznie je polubi.

– A ty je lubisz? – zagadnęła Mary.

– Ojoj! I jak jeszcze – odparła Marta, czyszcząc zawzięcie kratę komin-ka. – Ja moje wrzosowisko po prostu miłuję. A nie jest ono nagie, oj, nie! Całe ono roślinek cudnych pełne, a pachną ci one, oj, pachną! Toż ono śliczniuchne takie na wiosnę i latem, jak kwiecie zakwitnie, wrzosa różowe. Pachnie, jakby miód rozlał! A tyle tam powietrza, że się upić można; a niebo to tak het, het wysoko nad nim, a pszczoły i pasikoniki taki miły rozgwar czynią, tak brzęczą i dzwonią! Za nic bym nie chciała żyć z dala od mego wrzosowiska!

Mary słuchała jej słów z powagą i zdumieniem. Tubylcza służba w Indiach nic a nic podobna nie była do tutejszej. Tamci byli uniżeni, słuźal- czy i nie ośmieliliby się nigdy do państwa odzywać się jak do równych sobie. Bili im pokłony, nazywając ich „opiekunami biednych” i inne jeszcze nadając im nazwy. Indyjskiej służbie rozkazywano, nie proszono ich. Nie było zwyczaju mówić „proszę” i „dziękuję”, a Mary biła swą Ayah po twarzy, gdy się rozzłościła. I pomyślała sobie, co by też ta dziewczyna zrobiła, gdyby ją uderzono w policzek? Było to rumiane, pulchne, miłe stworzenie, ale miała dziwnie ostre obejście i panna Mary zastanawiała się, czy ona po prostu nie „oddalaby”, gdyby uderzono ją w twarz i gdyby uderzającą była mała dziewczynka.

– Dziwna jakaś z ciebie słuźaca – powiedziała wyniośle.

Marta usiadła na piętach z szcnotką do czyszczenia w ręce i śmiała się, zupełnie nieurazona.

– Dobrze to wiem – odparła, śmiejąc się. – Żeby sama jaśnie pani była w Misselthwaite, to bym przecie i pomocnicą pokojowej być nie mogła. Może by mi pozwolili być przy kuchni, ale nie do posługi w pokoju. Zana-
tom prosta* i mówić pięknie nie potrafię. Ale to dziwny jakiś dom, choć taki wielki. Rzekłby kto, że tu ani dziedzica, ani pani nie ma, a jeno pan Pitcher i pani Medlock. Jak jaśnie pan w domu, to i wiedzieć o niczym nie chce, a wreszcie on ciągle w podróży. To pani Medlock z dobroci swojej dała mi to miejsce. Ale mi powiedziała, że gdyby Misselthwaite było takie jak inne dwory, to nigdy nie mogłaby mnie przypuścić do dworskiej służby.

* *zanadto prosta* – skrócone: *zanadto jestem prosta*.

– Czy ty będziesz moją służącą? – spytała Mary, zawsze tym samym wyniosłym, w Indiach nabytym tonem.

Marta zaczęła znów czyścić kominek.

– Ja, proszę panienki, jestem służącą pani Medlock – odparła z godnością. – A ona służy jaśnie panu, ale ja niby mam robić robotę pokojowej i panience to i owo usłużyć. Aleć panienka nie potrzebuje znów tak dużo obsługi.

– Któż mnie będzie ubierał? – zagadnęła Mary.

Marta znów przysiadła na piętach, przyglądała się Mary, nie rozumiejąc, wreszcie ze zdumieniem spytała:

– To panienka sama nie potrafi?

– Cóż to ma znaczyć? Nie rozumiem cię.

– Chciałam powiedzieć, że panienka chyba umie sama się ubrać.

– Nie – rzuciła Mary z zupełną pogardą. – Nigdy w życiu nie ubierałam się sama. Ayah zawsze mnie całą ubierała.

– W takim razie najwyższy czas, żeby się panienka nauczyła sama to robić – powiedziała Marta, nie zdając sobie sprawy z swego zuchwalstwa. – Trzeba było młodziej zacząć. To panience dobrze zrobi, gdy sama koło swoich rzeczy pochodzi. Moja matka to zawsze się dziwuje, że dzieci bogatych państwa nie są do cna głupie, kiedy od małości niania je myją i ubierają, i na spacer prowadzą jak te lalki!

– W Indiach są zupełnie inne zwyczaje – rzuciła Mary pogardliwie. Rozmowa z Martą zaczęła ją złościć.

Lecz Marta niespieszona, mówiła dalej.

– Hm, ja zaraz spostrzegłam, że to tam całkiem musi być inaczej – odrzekła serdecznie. – A ja myślę, że to wszystko przez to, że tam tyle tych czarnych, zamiast pocziwych białych ludzi. Jakem usłyszała, że panienka z Indii przyjeżdża, tom myślała, że panienka też jest czarna.

Mary wściekła usiadła na łóżku.

– Co?! – zawołała – Co?! Myślałaś, że jestem Hinduską?! Ty... ty córko świni!

Marta spojrzała, przelekła i spłoszowała.

– Do kogo panienka tak mówi? – powiedziała. – Nie wolno panience tak się złościć i nie powinna panienka tak brzydko mówić. A ja przeciw tym

czarnym to nic nie mam. Księża to nam mówią i piszą, że oni są bardzo pobożni. A mówią i to, że choć to czarny, ale zawsze to człowiek i bliźni. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam czarnego człowieka i bardzo się cieszyłam, że nareszcie zobaczę choć jednego z bliska. Jakem tu rano weszła zapalić na kominku, to się do panienki łóżka zakradła cichutko i kołderki cichutko uchyliłam, żeby na panienkę spojrzeć. A tu panienka biała! – rzekła z rozczarowaniem – nie czarniejsza niż ja, choć panienka ode mnie żółciejsza.

Mary już nie usiłowała nawet zapanować nad swą wściekłością i upokorzeniem.

– I ty myślałaś, że jestem Hinduską?! I ty śmiałaś?! Nie masz żadnego pojęcia o Hindusach! To nie są ludzie, to są sługi, które ci się muszą kłaniać. Nic nie wiesz o Indiach, w ogóle o niczym nie masz pojęcia.

Wpadła w taką złość i czuła się taka bezbronna przed szczerym spojrzeniem Marty, przy tym poczuła się nagle tak strasznie osamotniona i tak oddalona od wszystkiego, co rozumiała i co ją rozumiało, że rzuciła się twarzą na poduszki i wybuchnęła szalonym szlochem. Płakała tak rozpaczliwie, że pocziwej Marcie strasznie się jej żal zrobiło. Podeszła do łóżka i prosiła, pochylając się nad dziewczynką:

– Panienko! Nie trzeba tak płakać; doprawdy nie trzeba. Nie wiedziałam, że taką przykrość paniusi sprawię. W ogóle głupia jestem i nic nie wiem, jak panienka słusznie powiedziała. Bardzo panienkę przepraszam i proszę przestać płakać.

Było coś dodającego otuchy, coś rzeczywiście przyjacielskiego w jej mowie prostej, a szczerzej, coś, co na Mary wywarło dobry wpływ. Przeszła płakać i powoli się uspokoiła. Marta była uradowana.

– No, a teraz, panienko, czas wstawać. Trzeba... Pani Medlock kazała mi podać śniadanie, herbatę i obiad tu, do przyległego pokoju. Tam jest urządzony dziecinny pokój dla panienki. Pomogę się panience ubrać, jeśli panienka z łóżeczka wyjdzie. A jeśli sukienki zapinane na plecach, to naturalnie sama panienka zapinać nie może.

Kiedy się Mary zdecydowała nareszcie wyjść z łóżka, Marta podała jej z szafy suknię inną niż ta, w której Mary przyjechała.

– To nie moja sukienka. Moja jest czarna – rzuciła Mary.